



## Mirosław Derecki

### „SZYŁEM FLAGĘ NA ZAŚLUBINY POLSKI Z MORZEM...”

Lata lecą, wnuki rosną, życie się różnie układa a przyjaźń frontowa, proszę pana – nie rdzewieje. Ile razy Mietek Dziedzic przyjedzie z Milejowa do Lublina to nie ma wypadku żeby nie zaszedł do mnie na Hanki Sawickiej, do warsztatu, i nie zapytał: „No, jak tam? Władziu. Wszystko po staremu...?” Siądzie na krzesełku pod ścianą, ja na swojej maszynie hurkoczę: cholewki się szyje do damskich kozaczków albo jaką starą kurtką skórzaną ceruje - i rozmawiamy. Najczęściej rozmawiamy o wojnie, o Kołobrzegu, o marszu na Berlin. Bo wtedy się nasza przyjaźń nawiązania i wtedy jeden drugiego spod kul ratował... Ja Mietkowi na przykład dwa razy życie zawdzięczam.

Właściwie to miałem być ślusarzem, a nie cholewkarzem. Tuż przed wojną dostałem pracę w Lubelskiej Wytworni Samolotów, zacząłem się uczyć zawodu u starego łachmana, majstra Frydeckiego. Potem, za okupacji, jakiś czas pracowałem w zakładzie ślusarskim przy ulicy Przemysłowej. Ale zaczęli, Niemcy o uczniów ślusarskich przepytować, co niektórych do fabryk w Reichu wywozili, pomyślałem: „może by się lepiej koło jakiegoś mniej niebezpiecznego zawodu zakręcić?”. No i tak się złożyło, że rodzina miała znajomego szewca, Stanisława Niewiadomskiego, przy ulicy Kowalskiej i on mnie przyjął do terminu. To był duży zakład: dziesięciu szewców, dziesięciu cholewkarzy. Były niezłe zarobki, bo Niewiadomski robotę znał oraz głowę na karku posiadał. Tak, że zamówienia płynęły jak woda. Poznałem jedną pannę, pracowała też jako cholewkarz w zakładach obuwniczych. Za okupacji żyło się szybko, w konkury długo nie chodziłem. Ledwie mi stuknęło dwadzieścia jeden lat, już byliśmy po ślubie...

A Mietka, proszę pana, oczywiście jeszcze wtedy nie znałem, nie. Dopiero w wojsku, pod Warszawą, jak żeśmy w Woli Karczewskiej stali... Tak sobie przypadliśmy od razu do gustu, do serca, bo ja z Lublina, a on też z Lubelszczyzny. Z Wozuczyna, więc prawie jak swój: „no, powiedziano, trzymajmy się razem bracie, zawsze to my rodaki. Choć ja ze wsi a ty z miasta”.

Ale najpierw był, oczywiście, dla Lublina koniec wojny, a zaraz potem, w sierpniu 1944 r., pierwszy pobór do wojska. Zameldowałem się w RKO na Placu Wolności w szkole „Ćwiczeniówce” - tam, gdzie teraz Wojewódzki Dom Kultury - i z całą gromadą znajomych

chłopaków pomaszzerowałem do 3 pułku zapasowego 1 Armii, na Majdanek. A tam nas już witał pułkownik Ziarkowski dobrym słowem: że co, jak co, ale on z nas zrobi w trzy miga żołnierzy. Brano wtedy jednocześnie cztery roczniki: od dwudziestego pierwszego do dwudziestego czwartego. Gdzie się człowiek ruszył - sami koledzy. Szybko nas rozniosło w różne strony. Większość chłopaków z Lublina poszła do 2 Armii. Tylko mała cześć pomaszzerowała we wrześniu pod Warszawę. Trafiłem do szkoły podoficerskiej, jak kończyły się boje o stolicę, miałem już naszywki kaprała.

„Żeby tylko razem” - mówił Mietek. No i proszę, udało się. Jak przyjechali z 4 dywizji „kupcy” po żołnierzy, trafiliśmy z Mietkiem do 12 pułku piechoty. Trzeci batalion, ósma kompania, pierwszy pluton. Ja w tym plutonie zostałem dowódcą pierwszej drużyny.

Nasz pułk został sformowany jeszcze w kwietniu 1944 r., w rejonie Sum, dowódcą był Pułkownik Dymitr Wariończyk. W przyszłości pułk miał otrzymać tytuł „Kołobrzeskiego”, zostać odznaczony krzyżem Virtuti Militari V klasy - za walki na Wale Pomorskim, udział w zdobywaniu Kołobrzegu i operacji berlińskiej. Do pułku dołączyliśmy gdzieś już pod Bydgoszczą...

Jak to się wtedy wszystko zmieniało, niczym w kalejdoskopi! W sierpniu czterdziestego czwartego byłem sobie jeszcze czeladnikiem u pana Niewiadomskiego, w styczniu następnego roku maszerowałem już z naszywkami kaprała, w lutym gwizdały mi koło ucha kule na Wale Pomorskim, a w marcu... W marcu, proszę pana, ja, chłopak z Placu Bychawskiego w Lublinie, szylłem już w Kołobrzegu biało-czerwoną flagę na zaślubiny Polski z morzem! Pierwszy raz to morze w życiu widziałem. Pierwszy raz wodę morską piłem i smakowała mi ona jak najlepsza woda ze źródła...

12 marca zawrócono nagle nasz pułk na zachód. Wsiedliśmy na podstawione ciężarówki; następnego dnia o świcie ocknęliśmy się na zachodnich przedpolach Kołobrzegu. Od tygodnia 1 Armia toczyła ciężkie boje z Niemcami o zdobycie miasta. Były trzy linie obrony, a za nimi siedziało dziesięć tysięcy żołnierzy. Mieli 160 dział, czołgi, działa pancerne; w obronie pomocne im były stare forty i fakt, że Kołobrzeg jest otoczony podmokłymi terenami. Z południa uderzyła 6 dywizja piechoty, z południowego wschodu 3 dywizja. Ze wschodu nacierała 272 radziecka dywizja piechoty i to właśnie my, 4 dywizja 1 Armii pod dowództwem generała Kieniewicza, zluzowaliśmy 13 marca Rosjan z dwieście siedemdziesiątej drugiej.

Do boju weszliśmy prosto z marszu. Przed nami rozciągały się rozległe, podmokłe tereny, było grząsko, biegło się ciężko. W odległości kilometra widać było pierwsze budynki, po prawej - zapamiętałem wysoką kępę brzoź: potem dowiedziałem się, że okalały one Plac Wyścigowy.

Jak żołnierz biegnie do ataku, a z przodu wali się na niego lawina ognia, to myśli tylko o dwóch rzeczach: żeby jak najszybciej dobiec do celu i żeby mieć przy sobie kolegę, który go ubezpiecza. A w razie, czego wyniesie na plecach. Więc kiedy tak leciałem przez to błoto, przez dym i kule, prując do niewidzialnego wroga z pepeszki, dziękowałem Bogu, że mam przy boku przyjaciela, Mietka Dziedzica. Rodaka z Lubelszczyzny. A on pewnie myślał to samo...

Sześć dni walk ulicznych... Nieraz staramy się z Mietkiem uporządkować jakoś w czasie tę kotłowaną, i... nic nam nie wychodzi. Noc rozjarzona płomieniem palących się domów, dzień czarny od płynących ulicami dymów, walka o parowozownię, o fabrykę... Te kamienice, w których kłębił się żołnierski przekładaniec: w piwnicach Niemcy, na parterze nasi. Na pierwszym piętrze - znowu Niemcy- i znowu Polacy. Nieraz, kiedy sobie to przypominę, zaczynają mi się ręce trząść, skóra cierpnie. Był pan na filmie „Jarzębina czerwona”? Kiedy nasi chłopcy poszli na ekranie do ataku, kiedy zanurzyli się w te ziejące, dymem i ogniem ulice, ja poczułem, że coś się ze mną niezwykłego dzieje, coś się takiego dzieje... Aż syn chwycił mnie za rękę, zaczął potrząsać: „tatusiu, co ty, co z tobą?” A ja mu na to: „bo widzisz, prawdę tutaj całą pokazali. Prawdę o nas i o Kołobrzegu”.

Pierwszy raz życie mi Mietek - w Kołobrzegu uratował. Wpadliśmy do korytarzyka na parterze jakiejś kamienicy - ja przodem, on mnie ubezpiecza. Skradam się ostrożnie, zaglądam w drzwi na lewo, nie widać nikogo. Dobra, idę dalej... Nagle słyszę, Mietek krzyczy: „Władek - z tyłu!” To ja się obracam jak fryga i... buch! swoim karabinem trafiłem w karabin Niemca. Z tych drzwi, z lewa, wylazł. Chciał mnie bagnetem załatwić. A tu już Mietek doskoczył i przebił go z tyłu!... Nogi się pode mną za trzęsły. Już żeśmy dalej nie poszli, wycofaliśmy się na ulicę... Jaka krótka chwila, a jaki strach! A jakie później z tego strachu wyczerpanie!

Potem pamiętam najlepiej początek dnia 18 marca. Raniusieńko, jeszcze było szaro na świecie, dobiegliśmy do mola. Najpierw zobaczyliśmy morze, później piaszczystą plażę. Po tym piachu gnaliśmy w kierunku latarni morskiej. Zapamiętałem na zawsze, że po lewej ręce miałem drewniany budynek na palach, pomalowany na niebiesko. Może jeszcze do dzisiaj stoi? Nieraz zastanawiam się, co to mogło być: skład jakiś, plażowa garderoba czy coś takiego?

Wszystkie pułki, kto tam jeszcze miał siłę i nie był ranny, pchały się do portu, do mola. I każdy wskakiwał do wody. Jeden drugiego do tej wody pchał, kotłowaliśmy się jak dzieci... Czapki poszły w górę, krzyczeć zaczęliśmy, walić w niebo z karabinów, z pepeszek, pistoletów - z czego kto miał. I piliśmy wodę z morza.

A z naszej całej 3 kompanii doszło do morza tylko ośmiu. A z naszej pierwszej drużyny, pierwszego plutonu - tylko ja, Mietek i jeszcze jeden żołnierz.

Jakoś tak na trzeci dzień po zdobyciu miasta wezwał mnie porucznik i powiada: „Władek, z zawodu jesteś cholewkarz, uszyjesz nam flagi biało-czerwone. Na zaślubiny Polski z morzem. Będzie uroczystość i potrzebne są flagi”. Ja na to: „cholewkarz jestem, panie poruczniku, nie krawiec. W skórze robię, nie w materiale. No i maszyny nie mam”. „Mnie nie obchodzi materiał ani maszyna - powiada on - tylko mój rozkaz!” A w wojsku, proszą pana, rozkaz to jest rozkaz, nie ma dyskusji... Wziąłem Mietka Dziejzica i Stacha Wójcika - też chłopaka z Lubelszczyzny i wyprawiliśmy się na poszukiwania. W jednym małym parterowym domku, po zachodniej stronie Kanału Drzewnego, znalazłem maszynę do szycia. Chłopcy skombinowali czerwone i białe płótno... i, ma się rozumieć, flagi na termin były gotowe.

I niech pan pomyśli, nawet tych zaślubin nie widziałem. Bo mi akurat tego dnia wypadła służba wartownicza w zupełnie innej części miasta i zaślubiny Polski z morzem zobaczyłem dopiero w długi czas potem, w kronice filmowej.

Święta wielkanocne obchodziliśmy jeszcze w Kołobrzegu, przyjmując uzupełnienia. Wtedy przyszedł do naszej kompani podporucznik Stanisław Chimiak, dusza chłop, lwowiak – prosto po szkole oficerskiej. Będę go zawsze pamiętał, bo umiał on być w marszu i na biwaku przyjacielem zwykłego żołnierza. I dlatego jeszcze, że zginął nie zdążywszy się dowiedzieć, czy wypełniłem jego rozkaz. Ale to już było za Odrą, podczas operacji berlińskiej, za miastem Wriezen. Tam też Mietek Dziejzic po raz drugi życie mi uratował.

18 kwietnia 1 Armia przełamała główny pas niemieckiej obrony i zajęła wschodni brzeg Starej Odry. Tego samego dnia 47 Armia radziecka opanowała miasto Wriezen leżące na lewym brzegu rzeki. Stąd wiodła szosa przez Brunow, Bernau i Schönwalde – ku północnym krańcom Berlina. W dzień później nasza 1 dywizja razem z 3 dywizją przystąpiły do wykonywania manewru oskrzydającego.

Kilka kilometrów na zachód od miasta była kopalnia piasku; przed tą kopalnią rosły wysokie drzewa, zaraz za nimi były niemieckie transzeje. Na drzewach siedziało dwóch niemieckich snajperów. Bili do nas jak do kaczek. Co który z chłopców głowę podniesie: buch! - już nie ma człowieka... A trzeba iść do przodu... Byłem dobrym strzelcem, zdobyłem nawet na Niemcach karabin z lunetką... Więc porucznik Chimiak krzyczy w pewnym momencie: „Władziu, ratuj! Bo nas wszystkich ten snajper wytnie!” I to były jego ostatnie słowa przed śmiercią. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem...

Kiwnąłem na Mietka - my zawsze razem! Wziąłem jeszcze dwóch żołnierzy i skokami, zygakiem udało nam się przebiec przedpole. Niezauważeni znaleźliśmy się po lewej stronie drzew, na których siedzieli wyborowi strzelcy. Widzieliśmy ich jak na dłoni. „Mięciu - powiedziałem - liczę: raz, dwa, trzy. Na „trzy” – strzelamy”. I po tych „trzech” - obydwaj Niemcy spadli na ziemię.

Poderwała się nasza tyraliera. Niemców w transzei wybiliśmy granatami. Tylko Stasio Chimiak tej chwili nie doczekał. Ostatni strzał snajpera trafił go w środek czoła, tuż pod okapem hełmu, kiedy porucznik wysunął głowę żeby zobaczyć, czy dotarliśmy bezpiecznie do wyznaczonego miejsca...

Tego samego dnia przed wieczorem ruszyliśmy do ataku na kopalnię piasku. Dowódca 3 batalionu, major Pietrowski, biegł na czele, ja - zaraz za nim ze swoimi chłopakami.

Pociągnęli po nas z prawej strony serię z karabinu maszynowego; major zdołał przelecieć, mnie jakby batem przeciął po nogach...

I już wiedziałem, że to dla mnie koniec wojny. Tyraliera zaległa, Niemcy walili ze wszystkiej broni jaką mieli. Nie straciłem od razu przytomności, więc podarłem na sobie koszulę, skręciłem prowizoryczne opaski i podwiązałem sobie nimi nogi w udach, żeby zatamować krwotok. Mignął mi przed oczami Marian „Marynarz”, prosiłem: „zabierz mnie Marian z ognia, ratuj...” Marian krzyknął: „wiesz, jak strzelają? Nie teraz, nie teraz...” i już go nie było...

Ale zaraz podczołgał się do mnie Mietek. Nachylił się i zaczął mi przywiązywać nogi do karabinu. Żeby je unieruchomić. A ja leżałem, patrzyłem w górę, niebo już było ciemne i tylko, co chwilę przelatowały po nim świetlne pociski. Niedaleko nas rozerwał się granat i jeden odłamek trafił Mietka w ramię. I krew z Mietka ramienia na mnie popłynęła... ale to było na szczęście lekkie trafienie.

Potem Mietek i niejaki Tadzio z Wieleńszczyzny oraz jeszcze jakiś chłopak z naszego plutonu położyli mnie na płaszcz-palatkę i zaczęli ciągnąć do tyłu. Ja już wtedy zacząłem tracić przytomność. I tylko tyle pamiętam, że Mietek nie chciał mnie zostawić na punkcie opatrunkowym, bo było bardzo dużo rannych i bał się, że zanim przyjdzie moja kolej, umrę z upływu krwi. Więc targali mnie na tej palatce cztery kilometry do miasta - jakiś czas jechałem na furmance - a kiedy ocknąłem się, leżałem już w piwnicy, w połowym szpitalu we Wriezen, a przy moim posłaniu siedział Mietek. „Mieciu - zapytałem - czy mam jeszcze nogi?”. „Masz” - odpowiedział Mietek. Ale ja nie wierzyłem. Kazałem mu zdjąć koc; dopiero jak dotknąłem - dałem wiarę.

Był ze mną Mietek do końca, do momentu, kiedy załadowali mnie razem z innymi rannymi na platformę Studebackera. I ja ruszyłem w stronę kraju, w drogę po szpitalach, a on pomaszerował na front.

Spotkaliśmy się ponownie dopięto w 1948 r. Wracał do cywila. Pamiętał mój lubelski adres i wstąpił, żeby zobaczyć czy się jego stary przyjaciel z wojny przy życiu uchował. „No, jak tam Władziu, wszystko po staremu...?” - zapytał. Doszedł z 4 dywizją aż do Łaby., potem walczył z bandami w Bieszczadach.

„A wielu jeszcze naszych chłopaków z kompanii z wojny wróciło?” - spytałem Mietka.  
„A niewielu, bracie, niewielu nas wróciło. Jak byśmy mieli jechać z wojny a nie maszerować, to by nam dwie, trzy furmanki wystarczyły...”

Mietek mieszka teraz w Milejowie, pracuje jako mechanik w wytwórni win i nie zdarzy się żeby mnie nie odwiedził jak jest w Lublinie. A Stacha Wójcika straciliśmy z oczu; żyje gdzieś na ziemiach zachodnich. Ale myślę, że jak przychodzi koniec marca a potem nadciąga kwiecień to, chociaż lat trzydzieści z górą minęło, Stacho przypomina sobie Kołobrzeg, nas z Mietkiem, i przypomina sobie też, że to my, trzej żołnierze z Lubelszczyzny, szyliśmy w tamtym wypalonym mieście biało-czerwone flagi na zaślubmy Polski z morzem.

\*) Władysław Miciuła, kawaler Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, Krzyża Walecznych, odznaczony Brązowym Medalem „Zasłużony na polu chwały” oraz licznymi innymi wojennymi odznaczeniami polskimi i radzieckimi. Posiadacz Honorowej Odznaki Rzemiosła, odznaki Zasłużonego Pracownika Handlu i Usług, i in., działacz cechowy oraz społeczny, aktywny członek LOK. Wychował i wykształcił dwoje dzieci: syn Tadeusz jest inżynierem budowlanym, córka Maria – nauczycielką. Od dwudziestu lat Władysław Miciuła prowadzi – ku zadowoleniu klientów – warsztat cholewkarski w podwórzu kamienicy przy ul. Hanki Sawickiej 3, w Lublinie

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 7, s. 3.